

Jan Józef Lipski – *O key!*

„Nowa Kultura”
nr 8 z 23 lutego 1958 r.

W amerykańskiej parodii filmowej „O key, Neron” dwaj amerykańscy marynarze, zdzieleni pałką po głowie, przenoszą się nagle do starożytnego Rzymu, by przejść tam przez cykl zabawnych przygód, w których historia miesza się z anachronizmem, a beztroski, farsowy chwilami humor z... Ale nie: chciałem napisać „z głębszym znaczeniem”. Tak jest raczej w „Naszej Pani Radosnej”.

To porównanie powieści z filmem narzuca się dość natrętnie, gdy znając już Zambrzyckiego – ogląda się „O key, Neron”. Oczywiście niczego to nie dowodzi, gdy dwa utwory podejmujące tę samą konwencję, w dodatku tak bardzo wrosniętą w tradycję – dochodzą do zbliżonych rezultatów i posługują się podobnymi pomysłami. Zbieżności jednak są doprawdy ciekawe i daleko idące. Misja cywilizacyjna amerykańskich marynarzy w Rzymie do złudzenia przypomina o kilkanaście lat wcześniejsze (jeżeli brać pod uwagę datę zrodzenia się pomysłu w głowie pisarza) pomysły Jeffa van Campena, a ich działalność komercyjno-rozrywkowa idzie też tym samym torem. Co więcej – Amerykanie realizują pomysł, którego van Campen nie zrealizował: uczą Rzymian grać w rugby! Scenki w knajpkach, na niewolniczym targowisku, w urzędzie rzymskim, itd., itd. – niemal te same. Ba, nawet odwiedziny u antycznej czarownicy, choć przebiegają w szczegółach inaczej – można znaleźć tu i tam.

Inna rzecz, że nie ma tu o co toczyć sporu ani wszczynać śledztwa. I to nie dlatego, że lekceważę „Naszą Panią Radosną”. Przeciwnie: jest to utwór mistrzowski. Miarą tego jest dla mnie choćby stale wzrastające zadowolenie, jakie odczuwam przy trzeciej już lekturze tej książki, za każdym razem po kilkuletnim odstępnie czasu, pozwalającym narosnąć w psychice materiałom do nowych refleksji, asocjacji, porównań i wzruszeń. Ale trzeba pamiętać, że jest to zarazem ten typ literatury, który zawsze żył z wątków wędrownych. Chociaż więc cieszę się, że to nie Zambrzycki jest tym drugim, z dwóch sobie podobnych, lecz pierwszym, nie uważam tej sprawy za istotną, raczej za ciekawą, tak w trochę w plotkarski, nieistotny sposób.

Książka Zambrzyckiego stanowi prawdziwą perłę literatury rozrywkowej. Trudno tu zresztą znajdować dla niej odpowiedniki w polskiej literaturze. Chodzi tu o pisarstwo o zajmującej, nawet pasjonującej fabule, obfitującej w przygody dowcipne (spontaniczne i w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie humoru autora jest warunkiem niezbędnym), nieposzlakowane z punktu widzenia kultury literackiej, z podskórnym nurtem problemowym, który jednak tak się percypuje, jak najnowszy typ filmowych i telewizyjnych reklamówek eksponowanych w czasie krótszym od prognozy świadomej spostrzegalności. A więc w żadnym razie nie jest to literatura „drugorzędna”. Przeciwnie: jest to literatura pierwszorzędna, i to pod dwoma co najmniej względami: i ze względu na swój poziom literacki, i ze względu na pewną elitarność swych wartości. „Naszą Panią Radosną” przeczyta z zainteresowaniem i przyjemnością każdy czytelnik, nawet bardzo

nieprzygotowany, ale czytelnik elitarny wyciągnie z niej to wszystko, co książka ta może dać.

Gdy już mowa o braku w Polsce dobrej literatury rozrywkowej, to trzeba powiedzieć, że ostatecznie znajdzie się jej trochę, choć też za mało dla kucharek, ale już prawie wcale dla intelektualistów. Tymczasem z literaturą typu reprezentowanego przez „Naszą Panią Radosną” jest trochę tak, jak już raz było z literaturą w XVIII wieku: granica między czystą rozrywką dostępną dla każdego, a powiastką filozoficzną, bogatą w problemy, jest tu bardzo nieuchwytna.

Przez karty „Naszej Pani Radosnej” wyraźnie przepływa ów podskórny nurt filozofii „stosowanej”, które jest, kto wie, czy nie największym urokiem tego typu książek. Widać to i w przekornym anarchizmie doboru bohaterów, sympatycznych niebieskich ptaków, zwykle uważanych, i nie bez racji, za element społecznie kłopotliwy – i w uniwersalistycznej tendencji do szukania jakiegoś wspólnego, humanistycznego mianownika, przekreślającego różnice wiar, języków i epok.

W jednym tylko miejscu czytelnik przestaje się uśmiechać, i to zaraz po uroczym fragmencie, opisującym narodziny kultu „Notre Dame du Liesse” – gdy tłum obija redaktora ateistycznego pisma „Sans Dieu” i demoluje maszyny drukarskie. Tu chyba zawiodło autora poczucie humoru. Nikt się nie śmieje. Przeciwnie! Brrr...

Gdyby „Naszą Panią Radosną” przełożono na którykolwiek z obcych języków – nic prawie by chyba nie straciła ze swych uroków. Na tym chyba polega m.in. jej uniwersalizm, czy też, jeśli kto woli, sympatyczny kosmopolityzm, niewykluczający zresztą wzruszenia, jakie odczuwa płk Bodineau, gdy wraca na ziemię ojczyzną. Ale jednego elementu książki nie zrozumie nikt poza Polakami. Otóż „Nasza Pani Radosna” jest książką, w której przez cały czas wiadomo, z czego żyją bohaterowie (wśród nich jest dwóch Polaków). Uprawiają oni najbardziej narodowy z naszych przemysłów: pędzą wysokoprocentowy alkohol. Jest to przecież przemysł, który obrósł narodową legendą w latach ostatniej wojny, z którym tak bardzo zrosło się mnóstwo narodowych postaw, pozwalający zachować jakąś istotną ciągłość kulturową poprzez zmienne epoki historyczne i formacje ekonomiczno-społeczne, jedyny, który nigdy nie zawodzi i nie przechodzi kryzysów, bez względu na to, czy wykonywany jest na wpół chałupniczo przez ukrywających się przed policją hochsztaplerów, czy przez wielkie, znacjonalizowane gorzelnie.